

ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



Dziecko i jego Prawo.

Zmieniają się czasy. Dziecko było niegdyś rzeczą i własnością. Ojciec tą rzeczą rozporządzał dowolnie, składał na ofiarę bogom, albo sprzedawał, kazał wykonywać te lub inne polecenia, rzemiosła i zawody. Władza rodzicielska nad dzieckiem była zupełna. Ojciec mógł karać dowolnie. Nie odpowiadał za rany i „połamane kości“. Miał wobec dziecka wszystkie prawa, obowiązków nie miał żadnych, albo prawie żadnych. Były to czasy rodu czy rodziny, czasy rodziciela i władcy. Jakże odeszła dziś ludzkość od tych czasów, których ślady błakają się i teraz jeszcze po starych i niewspółczesnych rodzinach! Czas przywołał do życia i głosu nasamprzód matkę, następnie i dziecko. Czas prawa wyłączone rodziciela rozszerzył i na karmicielkę i wychowawczynię. Czas sprawił, że ludzkość zaczęła się wstydzić stosunku do dziecka, jako do rzeczy bezdusznej, do przedmiotu. Dziecko jest człowiekiem, istotą żywą. Ma swoją indywidualność, którą szanować należy. Ma swoje prawa, wobec których milkną dawne przywileje rodzica, prawa, które szanować należy. Nie tylko prawo do życia, ale i prawo do istnienia w warunkach, jakie dała natura. Miljonów lat trzeba było, aby ludzkość zrozumiała, że dziecko jest człowiekiem i że społeczeństwo ma wobec niego obowiązki. Jest to jeden z największych tryumfów kultury.

Kultura sprawiła, że ojcu, że rodzicom nie wszystko „wolno“ wobec dziecka, że, natomiast, dziecku wiele „wolno“ i coraz więcej wolno wobec rodzica. Dziś już ustawy społeczeństw postępowych odbierają ojcu niegodnemu prawa wobec dziecka. Dziś już oczy społeczeństwa skierowane są ku dziecku, jako ku centralnemu punktowi życia zbiorowego. Czy to w zdrowiu, czy w chorobie, dziecko jest przedmiotem starań specjalnych. Opiekuje się niem społeczeństwo, gdy jest jeszcze w łonie matki, opiekuje się niem od najmłodszych lat istnienia. Biblioteki całe rad i wskazówek zostały spisane i są społeczeństwa, są narody, u których rady te i wskazówki nie zostały tylko na papierze. Dawniejsza szkoła dla dzieci, w której ledwie czytać umiejący baka-larz znęcał się nad dzieckiem, dziś staje się wszędzie na Zachodzie np. w Ameryce wielką i piękną instytucję, w której wykształcony i rozumny nauczyciel oddaje się z całą pieczołowitością hodowli nietylko umysłu ale i charakteru indywidualnego dziecka.

Wyodrębnia się ze szkoły słabsze, niedorozwinięte umysłowo. dzieci upośledzone, które kształcić należy inaczej, wszystkie starania, zmierzają ku temu, aby indywidualność dziecka znalazła się w najlepszych dla niej warunkach, aby wszystkie zarodki talentów mogły rozwinąć się i zagłuszyć podszepty złych instynktów, zupełnie jak zdrowy i mocny kłós, wyrosły na dobrze uprawionej glebie, zagłusza, prostopu, perz i chwasty, które w innych, gorszych warunkach zagłuszyłyby w odwrotnym porządku kielki zdrowego i szlachetnego zboża. Wystarczy wejść do amerykańskiej szkoły aby zauważyć, z jaką pieczołowitością społeczność hoduje przy pomocy specjalistów, sercem sprawie oddanych, te zdrowe zarodki talentów. Od lat niemal niemowlęcych dziecko znajduje się pod opieką ludzi wiedzących. Ledwie chodzić zaczyna, już spoczywa nad niem oko wychowawcy. Ledwie od ziemi odrośnie, już opiekuje się

niem bibliotekarka czytelni publicznej. Zanim do szkoły pójdzie, już wiadomo, co je zajmuje, co w szczególności je pociąga. Wydobywać ze sennej, jeszcze jak gdyby w cieniach przedistnienia żyjącej, świadomości dziecka zarodki uzdolnień i talentów, dawać tym zarodkom warunki najodpowiedniejsze dla rozwoju i rozkwitu, śledzić postępy tego rozwoju, towarzyszyć ich rozkwitowi i błogosławić je na drogę życia — oto zadanie tej nowej szkoły. Hodowla indywidualności, hodowla człowieka — oto szkoła, którą społeczność postępową dźwiga dla dziecka, które przestało być rzeczą, przedmiotem, a stało się osobą równoprawną z dawnym ojcem — despota.

Pisano już, co prawda, książki pod tytułem „Stulecie Dziecka“, ale w rzeczy samej jesteśmy dopiero u progu tych nowych czasów.

Dziecko jest nieśmiertelnością człowieka na ziemi. Przekazujemy mu wszystko, co w nas urobiła kultura, wszystko dobre i wszystko złe. Przekazujemy zarodki chorób, przekazujemy złe instynkty, złe narowy, z których zdajemy sobie sprawę, ale nie mamy siły opanować ich i ujarzmić. Jak wielką bierzemy wobec tego na siebie w stosunku do dziecka odpowiedzialność! Winniśmy mu dać kompensatę. I cokolwiek dla dziecka uczynimy, będzie tylko małą częścią długu, jaki wobec niego zaciągamy, życie mu dając.

Dziecko jest nieśmiertelnością człowieka na ziemi! Trudnimy się, zabiegamy, często niezdrową tylko wiedzeni ambicją; mija życie i u progu starości, gdy już tworzyć przestajemy, oglądamy się: długa droga za nami, pełna rozczarowań, zagubionych pomysłów, rozwianych iluzji, niespełnionych przyrzeczeń, niewykonanych postanowień! Pragnęliśmy, chcieliśmy, pożądaliliśmy. Śniły nam się większe rzeczy. Nieśliśmy, jak to starożytni Grecy pięknie ujmowali, pochodnię, dziś chwiać się zaczyna w rękach zmęczonych: kto ją podejmie? Kto poniesie o staję dalej? Kto wykona, co zamierzaliśmy w nadziei godzinach, kiedy jawił nam się geniusz Dobra i Piękna? Kto spełni, co przyrzekaliśmy, a czego wykonać nie pozwoliły słabe siły albo zły przypadek? Kto dokończy, co zapoczątkowaliśmy, kto pójdzie dalej, ku szczytom, gdzie „myśl nie sięga“? Kto znowu u słońca samego zapali nową dla nowego życia pochodnię? Kto będzie lepszy, niż my?

Dziecko jest nieśmiertelnością człowieka na ziemi. Ono więcej warte niż to wszystko, co piszemy, co wygrywamy na klawikordzie, czy na wiolonczeli, co zostaje po nas na płótnie albo w marmurze! Przez nie my żyć nie przestajemy aż do ostatnich kresów istnienia ludzkiego na ziemi. Ono jest Ludzkością. I dlatego, cokolwiekbyśmy dla Dziecka czynili w szkolnictwie, w prawodawstwie, w opiece społecznej, w literaturze pięknej — nie będzie nigdy za dużo, nie będzie to nigdy, jak tylko spleta „w drobnych ratach i bez procentu“ całego liczmanu obowiązków naszych wobec dziecka. Usuwajmy przeszkody z drogi jego życia, usuwajmy kamienie i ciernie. Dajmy mu wszystko, co mamy najlepszego, najtrwalszego: ono niesie Pochodnię.

Rajmund Kucharski.

NIEWOLA.

Nie los, lecz moce wwały mnie w jamę,
w głęboką czelusć skalnych ścian,
na samo dno studniska.
Spuszczono także wody dzban,
bym żył — i kawał chleba —
i jeszcze w górze, dla urągowiska
rozwartą bramę
pozostawiono, płytę nieba.

Mam żyć w kamieniach, w pianie gór
wgniecionej w studnię.
Mogę pożywać — niebo, chleb, wodę,
myśleć i marzyć jawnie, obłudnie,
jak chcę, byle nie działać.

Zwichrzę się, trzasnę w obły mur
raz, drugi, trzeci. Wściekły tan
powiodę, powiodę
na dnie. po lochu, od ścian do ścian.
Bezdenie głucha, wściekła siła
miota się kruszyć, bić, zawalać.
Połupię złomy w drobny piarg.
Rozpaczy pięścią ściany strzaskam.

Pięść się skrwawiła.
Krew cieknie z warg.
Krwawą pięścią po murze klaskam,
a mur trwa.

Krzyk, od którego strach się jeży.
Może obudzi gdzieś w kimś lwa
samotny krzyk z głębokiej wieży...

Przez płytę nieba, niby przez sień,
światło, przyjaciel niewolnika,
schodzi do studni, do mnie schodzi.
Dzień.
Ominął straż
płatek promyka,
trąca jak dłoń, po lochu brodzi
i głaska twarz.

Po promienistym słońca sznurze
piąć się na szczyt. Wyniść ze studni.
Zgarnąć do siebie — świat w górze:
niebo, obłoki, ptactwo co lata,
pociąg co dudni,
ziemię, co drży, faluje, rodzi...
Tam świat. Chcę świata.
Przestrzeń z dali do dali
hula jak dech, jak wola chodzi,
w dygotach fabryk młotem wali.
A ja — nie mogę.
Żyła ma każda — mocny sznur.
Sercę — to młot:

bije, ponosi, rwie i targa —
w drogę.
Każda kropelka krwi, jak grot,
biegnie i mierzy, biegnie i mierzy....
A ja — nie mogę.
Mur.

Samotna, wściekła, głucha skarga
na jamy dnie bez władzy leży.
Niemoc i moc. Mur i ja, człowiek,
niewolnik w galop rozdygotany.
Coś pęta mnie i coś porywa
w czyn, do zmrużenia celnie powiek.
Jestem bez skrzydeł ptak rozśpiewany.
Dygot mój, noją pieśń, z gardła wyrzucić.
Puścić ją w świat. Niech wzywa.
Niech wzmaga pęd i czyn, jak krew.
Pocynam nucić.
Ze studni, z dna wyfrunął śpiew,
rozpłynął się. Biega i dyszy,
wiruje, hula, dzwoni, krzyczy...
Do mnie, pociągi, ruch, przestrzenie.
Do mojej ciszy....
Tam — niby sygnał fabryki ryczy,
ujarzmił tłum, pognął szalenie...
Tam — łamie kratę ciężkich wrót,
przerywa tamy, skacze do chmur...

Zbliża się, już jest przy studni
zaczarowany śpiewem młot.
Już dudni.
Już kruszy mur.

Wacław Budzyński.

WŁADCA I LUD.

Swych wielkich uczujących nienawidzą mali,
Naprzód tłum, blaskiem możnych oślepiiony, klaszcze,
Potem, widząc te ciągle zachłysty hulaszczce,
Mruczy, wre i pomstuje, że go okłamali.

Szemrze lud i otwiera, jak lew, głodną paszczę
Na królów, gdy po uczcie już się zadrzemali,
Wpadł, i władców obrzękłych, sytych łapą wali,
I już go król dijaną ręką nie ugłaszcze.

Tak jest. Na widok hucznych, orgjastycznych biesiad,
Przeklina lud te stoły, do których sam nie siadł.
Ten monarcha pobłądził, kto w weselu płochem
Okazuje swój szczęścia zbytek przed motłochem,
Żałuje mu, nędznemu, z bankietów ogryzka,
Aż nędzarz ów, jak wulkan, drgnął i lawą tryska.

Parafrazował z książki „Tao” (Lao-Tse).

Jan Lemański.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

11)



Chciał dzień mozolnej górskiej drogi dzielić go od łodzi, zawierającej całe jego bogactwo, które zdołał przewieźć ze sobą. Należało to zadźwigać pod górę — trud nie na siły jednego człowieka. Urządził tedy skład nad brzegiem potoku. Były tam beczułki z rumem, paki z tytoniem, ubrania zapasowe, narzędzia, liny, deski, broń i naboje. Zwalił to na brzeg i nakrył łodzią, jak dachem.

Do nowej siedziby przenośli tylko najniezbędniejsze rzeczy. Dzięki zapalczywej pracy, szybko wznosiły się ściany z bloków kamienia, spojone gliną. Dach z gałęzi, okryty płótnem żaglowym, skrył nowy dom. W rogu stanął piec i dom był gotowy.

Ale pracy było jeszcze co niemiara.

Gromadził zapasy na „zimę“. Wędził i suszył na słońcu ryby, których nieprzebrana moc roita się w potoku, kopał słodkawe korzenie, przypominające w smaku kartofle, zbierał nasienie nieznannej rośliny, które, ugotowane, nazywało się kaszą, suszył przeróżne owoce, pakował pełne worki orzechów, podbiierał miód.

Te prace aprowizacyjne, z których spora część była zbędna, gdyż zwierzyna tutejsza, górskie kozły i najrozmaitsze ptactwo z jaskiń dawały się brać gołymi rękami, stały się u niego manją. Chciał się zagospodarować porządnie i zasobnie. Znudziło mu się być człowiekiem pierwotnym, który nie dba o nic i żyje samymi owocami, jak małpa. Zachciało mu się żyć po ludzku w czterech ścianach z dachem nad głową, mieć wszystko pod ręką we własnej spiżarni, zaczął dbać o różnorodność w jedzeniu, odkrywał coraz to nowe rośliny jadalne, wymyślał sobie potrawy.

Ustalał się u niego dziwny, nieco manjacki, najdogodniejszy tryb życia. Czuł się wreszcie u siebie, na własnych śmieciach. I przez długi czas na nowej siedzibie był zupełnie szczęśliwy.

Gdy się budził co rano, widział ze swego posłania, z głębi chaty, niezmienny i niezmierny obraz oceanu, który go witał wiernie, jak duch opiekuńczy i upewniał go, że świat należy do niego jednego. Że wieczne i niezwalczone jest jego władztwo nad swoim losem i życiem.

Wiedza jego o wszystkim, co jest lub być może poza oceanem, była łagodnie i spokojnie przyćmioną. Niby nie zapominał jęcząc, ale już nie wspominał niczego, co się nie znajdowało tutaj, na wyspie, w granicach jego świata. Tu była jedyna prawda i wszystko, co się wkoło niego znajdowało było bezsporne i oczywiste. Reszta — ach, niechże będzie i reszta...

Ale ta reszta, czyli wszystko, co tamtejsze, obce jakies, dziwne, niepewne, nie posiadało już w jego pamięci życia i ciała. Zacierało się w poczuciu, łączyło się z widziadłami jego snów, gdzie znowu nigdy nie było krzyty prawdy, gdzie wyspa i świat na niej istniejący nie pojawiały się nigdy. Tam we snach hasały jakies widma i strzępy zadziwiających obrazów, które niepodobne były do niczego. Tam dręczył się, lkał i przeklinał nieszczęsny przy-

bysz z poza świata, jakis człek niewiadomy, który poniewierał się gdzieś w okropnych kolejach i przychodził po nocy aż tutaj skarżyć się i rozpaczać.

Męczący i obrzydły był ów jedyny gość. Zakradał się nocą, nudził, napastował uspiętego i zniknął bez śladu przy pierwszym brzasku dnia.

Codzień o swoich godzinach wstawało słońce z za gór i tonęło za oceanem. Ale dni mijaly i przemijały nieliczone. I czas zatrzymał się w miejscu, przestał istnieć, bo nie było komu pytać, co też będzie jutro? Ani wspominać, co tam było kiedyś?

ROZDZIAŁ VI.

Stary sad, słoneczne popołudnie pierwszej jesieni. Rzeźwy zapach jabłek, miodowa woń dojrzających gruszek, tchnienie zżętych pól i tuż za płotem ogrodu ich złota przestrzeń, usiana stertami. Słodczy spokoju i wywczasu, błoga pogoda wsi. Z oddala miękki turkot wozu, toczącego się po polu i echo chłopskiej piosenki.

Z głębi duszy podnosi się rzewna, serdeczna za wszystko wdzięczność. Chce się śpiewać głośno i radośnie, a w przepelnionej piersi wzbierają łzy. Cisza w powietrzu, drzemią w sadzie wszystkie drzewa, obciążone dojrzalym owocem. Tylko stara osina trzęsie liśćmi. Szepce tęskno, niespokojnie, nieufnie. Łopoce, jak krople deszczu.

Milczą oddawna oboje, bo nie wiedzą, co mówić, zawstyżeni, porażeni szczęściem. Powiedzieli sobie już wszystko i pokonani przez własną odwagę, nie mogą więcej. Choć tyle chce się jeszcze wypowiedzieć, tyle jeszcze trzeba ponad to wszystko, co zdołali wyszeptać do siebie:

— Kocham...

— Kocham...

Szczęście obezwładnia, onieśmiela i sprawia ból. Ból ten najtajemniejszą upaja rozkoszą i odbiera wiarę w to, co się stało. Dusze łakną prawdy i upewnienia. Usta w usta płynie i powtarza się bez końca szept, który zawiera w sobie wszystko.

— Kochasz?

-- Kocham...

Cisza. Zadumane stoją w słońcu drzewa, obciążone owocem. Tylko stara osina trwoży się i wciąż jeszcze nie ufa. Łopoce liśćmi z niespokojną troską, szepce coś pośpiesznie, wyrzeka i biada.

...Po roku znowu cudna pogoda jesieni. Znowu obrodziły drzewa, znowu pracowici ludzie zżęli zboże i zwieźli je w wielkie żółte sterty.

Napróżno czeka i czeka, chodząc po starym sadzie. Nie widzi nic, jeno swoją rozpacz. Tutaj przedewszystkiem przybył, żeby ją ukoić. Niech wszyscy szaleją nad nim w zaślepieniu i nienawiści. Ona jedna wierna. Ona mu wierzy. Z nią obejdzie się bez wszystkich!

Czeka, przebiegając stare aleje. Siada na ich dawnej ławeczce pod osiną i czeka. Uparł się i nie odchodzi, choć na jego stęsknione powitanie odpowiedziano mu we dworze, żeby sobie ruszał precz. Bo i tutaj dotarło zbrodnicze oszczerstwo. Tem lepiej, że już wiedzą. A ona przyjdzie, musi przyjść.

Nie może być inaczej. Pójdzie za nim, choć ojciec i matka radziby go wyszczuć psami.

Słońce zaszło za czarne lasy, zakwitły na niebie pierwsze gwiazdy. Kamienieje serce i zacina się w ponurej zajądłości — na cały świat. Teraz już niema nikogo. Dobrze. Łzami płacze samotny i lka wśród mroku — bo poczuł pierwsze ciepłe dotknięcie, pierwszy znak współczucia. To pies, stary znajomy, przyszedł do niego i położył mu głowę na kolanach. On jeden był, jak dawniej.

I szeptały nad nim liście osiny drżącej w niepokoju. Biadało stare drzewo szeptem przenikliwym: „a widzisz, widzisz!...”

Od godziny już mówi. Spowiada się z głębi duszy. Odśłania się bez żadnego utajenia. Przed nim kim by się nie poniżył. Przed nim jednym.

Słucha i ani razu nie spojrzy mu w oczy, najlepszy, jedyny przyjaciel. Siedzi, słucha i myśli sobie: „żebyś już raz poszedł precz i nie pokazywał się więcej na oczy!”

I ten mu nie wierzy. I ten, jak tamci, jak wszyscy. Potem świat sędziów, ani jednego obrońcy. Wszystkie drzwi się przed nim zamykają. Jak pies bezdomny, krąży po ulicach rodzonego miasta, znajomego od dziecka.

Dowiedziano mu, że jest nędznym zdrajcą, wyliczono mu ludzi, towarzyszków, których wydał i zgubił. Okazywano mu papiery, pisane jego ręką. Nie do pojęcia było, kto je podrobił? Nie do wiary było, że mógł ktoś wiedzieć o rzeczach, które znał tylko on jeden. Sam tego nie rozumiał, dręczył się dniami i nocą i gubił się w bezowocnych dociekaniach.

Bronił się sam przeciwko wszystkim, bronił się z zajądłością rozpaczy. Wierzył dokumentom, wierzył w niezbite oskarżenia i wiedział, że nie jest winien. On jeden — wiedział.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZDROWIE PODRÓŻNEGO!

JACK LONDON.

— Dolewaj-no jeszcze!

— Ależ, Kid, czy nie będzie za mocne? Dość już, że zmieszaliśmy whisky ze spirytusem, jeśli dodamy jeszcze pieprzówki...

— Dolewaj, powiadam ci. Któż przyrządza poncz nareszcie, ja, czy ty? — uśmiechnął się dobrodusznie Malemute Kid z za kłębów wonnej pary.

— Zczasem, mój synu, kiedy przeżyjesz w tym kraju tyle lat, co ja, żywiąc się króliczemi łapkami i suszoną łososiną, zrozumiesz dobrze, że Boże Narodzenie bywa tylko raz do roku. A Boże Narodzenie bez ponczu, to tak, jak pokład bez złotej żyły.

— Dobrze mówi — przyklasnął Jim Belden Grudy, który specjalnie przybył z góry rzeki ze swojej działki na Mary May, żeby spędzić święta z towarzyszami. Wiedziano o nim powszechnie, że żywił się całe dwa miesiące tylko jeleniem mięsem.

— A pamiętasz, jaki „hooch“*) przyrządzałeś nam na Tananie?

— Pamiętam, a jakże! Ej, chłopcy, radzibyście byli oglądać taką uciechę. Całe plemię popiło się do upadłego, a wszystko dzięki porządnej fermentacji cukru i kwaśnego ciasta. Was jeszcze wtedy nie było — zwrócił się Malemute Kid do Stanley-Prince'a, młodego górnika, przybyłego dopiero przed dwoma laty. — Białej kobiety ani na lekarstwo, w całej okolicy, a tu Masonowi zachciało się ożenku. Ojciec Ruthy był wodzem Tananów i sprzeciwił się temu wraz z całym plemieniem. Cóż, poświęciłem ostatni funt cukru. I stało się najbardziej mistrzowskie moje dzieło w tym kierunku. Warto było widzieć polowanie z biegiem rzeki i naprzetał po kraju.

— A cóż ona? — spytał francuz z Kanady Louis Savoy, z widocznym zaciekawieniem. Słyszał już coś niecoś o tem szaleństwie jeszcze w Forty-Mile.

Wtedy Malemute Kid, urodzony gawędziarz, rozpoczął przedziwną historję Lochinvaru Północy.

I niejeden bujny awanturник stepowy poczuł, jak napinają się struny jego duszy i grają tęsknotą ku słonecznym niwom Południa, gdzie życie obiecuje coś więcej ponad daremną walkę z mrozem i śmiercią.

— Dobrnęliśmy do Yukonu właśnie wtedy, kiedy ruszyły pierwsze lody — kończył Malemute Kid, — a Indianie byli tuż za nami, o kwadrans drogi. Ale to nas zbawiło, bo właśnie przez ten czas zdążyły ruszyć drugie lody i odcięły ich. Kiedy zaś doszli do Nuklukyetu, cały posterunek gotów był na ich spotkanie. Co zaś do wesela, to pytajcie ojca Roubeau, on to bowiem był mistrzem ceremonii.

Jezuita wyjął z ust fajeczkę, ale zaledwie zdążył wyrazić swe zadowolenie patryarchalnym śmiechem, kiedy protestanci i katolicy dali rześiste brawo.

— To ci historja! — krzyknął Louis Savoy, poruszony widocznie romantyczną stroną przygody. — La petite! Patrzcie ją! Zuch Mason! Ho, ho!

Kiedy pierwsze szklanki ponczu obeszły koło biesiadników, Bettles, zwany „Niestrudzonym“ zerwał się i rozpoczął swą ulubioną pijacką piosenkę:

I księżyk nasz wesoly,
I belfr niedzielnej szkoly,
(Czyż wolno prawdę rzec?)
Ach piją bez pamłęci,
Bo rajski owoc nęci,
Nad szklanką słodki to wieci!

Podchmielony chór pochwyił wesoło

Z kielichem słodki nam wieci!

Ognisty nawar Kida robił swoje. Tych ludzi, nieugiętych na Szlaku, ni na postoju, poniosła, gdzie chciała, huczna, kipiąca, wezbrana po brzegi, wesołość. Wychodzący z tuzina krajów, wznosili toasty za wszystkich i każdego. Anglik Prince propagował „Wuja Sama”, zdobywcę Nowego Świata. Yankee Bettles śpiewał „Boże strzeż królową”, a Savoy wraz z odstępca Niemcem, Meyersem, stuknęli się za pomysłność Alzacji i Lotaryngji.

Wtedy wstał Malemute Kid z kielichem w rękę, popatrzał na pergaminową szybę okna, złodowaciała na grubość trzech cali i zawołał:

— Zdrowie Podróżnego, co noc tę spędza na Szlaku! Niechaj starczy mu żywności, niech psy jego nie ustają w drodze, niechaj zapalki nie odmówią mu ognia...

*) Rodzaj ponczu.

Krak! Krak! i posłyszeli znany trzask bicza, szczekanie domowych psów i skrzyp sani, zatrzymujących się u drzwi chaty. Rozmowa urwała się. Czekało, co nastąpi.

— Stary wyga na szlaku, troszczy się najpierw o psy, potem o siebie — mruknął Malemute Kid do Prince'a, kiedy rozbrzmiało napół wilcze wycie, trwożne poszczekiwanie i człapanie kłów. Wprawne ich ucho poznało odrazu, że przybyły karmi swoje psy i ogania cudze. Potem nastąpiło oczekiwane stukanie do drzwi, ostre, a poufale — i nieznajomy wszedł do izby. Osłepiony światłem, zawahał się chwilę u wejścia, co dało zebrany możliwość przyjrzenia mu się dokładnie. Była to wspaniała postać męska, jedna z najbardziej malowniczych, w podbiegunowym stroju, z wełny i futer. Sięgając szczęciu stóp wzrostu, rozrosły był w barach i wyniosły w piersi. Gładko ogolona twarz rumiana była od mrozu, brwi i rzęsy pokryte szronem, szyja i uszy odsłonięte, a głowa okryta wysoką czapą wilczą. Stał, jak prawdziwy Król Zimy, przybyły z głębi nocy. Za ozdobnym pasem, opinającym futrzaną kurtę, tkwił nóż myśliwski i dwa rewolwery Colt'a, w rękę trzymał nieodłączny bat na psy i dobrą strzelbę bezdymną najnowszego systemu. Po paru już krokach widać było sprężystość ruchów, obciążonych jednak w tej chwili ogromnym zmęczeniem.

Niezręczne milczenie zapanowało na chwilę, ale swobodne „Jak się macie, towarzysze!“ — rzucone uprzejmie przez przybyłego, z łatwością przywróciło dawny nastrój i za chwilę już Malemute Kid ścisnął dłoń jego serdecznie. Nie spotykali się dotąd nigdy, ale obaj słyszeli o sobie i radzi byli poznać się wzajemnie. Zanim przybyły zdążył wytłumaczyć niespodziewany swój najazd, zapoznano go ze wszystkimi i napojono ponczem.

— Jak dawno przejechały tędy kryte sanie z 3-ma ludźmi, zaprzężone w 8 psów? — zagadnął.

— Akurat dwa dni temu. Wy za nimi?

— Tak. Mój własny zaprząg. Szelmy sprzątnęły mi go z przed nosa. Dopędziłem ich już o dwa dni, złapię na następnym postoju.

— Myślicie, że to będzie łatwo? — zapytał Belden, prosto dla podtrzymania rozmowy, bo Malemute Kid zakrzętał się koło kawy i zajął smażeniem mięsa ze słoniną.

Przybyły znacząco dotknął broni.

— Dawno z Dawson?

— O dwunastej.

— Zeszłej nocy? chociaż rozumiało się to samo przez się.

— Dziś w południe.

Poszept zdumienia rozległ się wokoło stołu. Podziwiano. Była równo północ, a 75 mil surowej drogi wzdłuż rzeki, w przeciagu dwunastu tylko godzin — była to sztuka nielada.

Rozmowa przeszła wkrótce na tory ogólne, powracając do wspomnień przeszłości. Młody przybysz jadł z apetytem, a Malemute Kid studiował tymczasem uważnie jego twarz. Po chwili zdecydował stanowczo, że była piękna, uczciwa, otwarta i bardzo ujmująca. Rysy jeszcze młodzieńcze, były już po męsku kute rylcem surowej troski. Jasne w rozmowie, spokojne w milczeniu, niebieskie jego oczy zapowiadały ostry błysk stali, kiedy czekała walka nieubłagana ze złem. Mocno zarysowane szczęki i kwadratowy podbródek wskazywały na niezawisłość charakteru

i nieugiętą wolę. Lecz na tej władnej, lwiej twarzy, przeblyskiwał niekiedy miękki łagodny cień, kobiecej nieomal uczuciowości.

— Tak, takeśmy się to zeszli z moją babą — kończył Belden opowiadanie o swej żeniacze: Otóż i my, ojciec — powiedziała do starego moja żona: — A, niechże was lichol zamruczał ojciec i natychmiast potem kazał mi zaorać spory kawał ziemi do południa. A ty, Sali, zabieraj się do sprzątania, rozkazał. Ja byłem okrutnie rad, a potem stary zawołał mnie: Ej, Jim! Przybiegłem cały urobiony w ziemi i nareszcie wszystko skończyło się na hucznej ciałowaniu...

— Pewnie dzieciaki czekają na was tam, w Stanach? — zagadnął przybysz.

— E, gdzie tam; Sali umarła, zanim któreś zdołało przybyć. Dlatego tu jestem.

Belden w roztargnieniu rozpałać począł gasnącą fajeczkę, a kiedy zadymiała nanowo, westchnął:

— A jakże tam wy, towarzyszu — żonaci?

Tamten, zamiast odpowiedzi, wyjął zegarek, zsunął z rzemyka, służącego za dewizkę, i otworzywszy wieczko, podał pytającemu. Belden przykreślił lampkę, uważnie obejrzał wnętrze zegarka i ze słowami zachwytu oddał Louis Savoy.

— Tam do licha! — rozplomieniał się tamten i posunął zegarek ku Prince'owi. Można było zauważyć, jak dłonie Prince'a zdrząły, a oczy zamgląda rzewność. I tak przechodziła z jednej do drugiej ciemnej, zgrubiałej dłoni, pastelowa minjatura prześlicznej, słodkiej kobiety, z dzieckiem u piersi. Ci, co jeszcze nie widzieli cudu, wychylali się ciekawie, inni siedzieli milczący i zamysleni. Ludzie ci bez drgnienia spotykali widmo głodu, cierpienia, nagłej śmierci na łądzie i wodzie, ale martwy wizerunek nieznannej kobiety z dzieciątkiem — zamieniał ich samych w kobiety i dzieci.

— Nie widziałem jeszcze najmłodszego, wiem tylko, że chłopak ma już dwa lata — objaśnił przybyły, kiedy zegarek wrócił doń po obejściu całego koła. Przez krótką chwilę patrzył na fotografię, potem zamknął wieczko i odwrócił się szybko, niedość szybko jednak, by ukryć hamowane na rzęsach łyzy.

Malemute Kid wskazał mu ławę i zaproponował odpoczynek.

— Obudźcie mnie o czwartej, a ostro. Ani chwili później, były jego ostatnie słowa. Za chwilę oddychał już głębokim, znużonym snem.

— Na Jowisza, śmiały chłop — zawołał Prince. Trzy godziny wytchnienia po 75 milach! Któż to jest, Kid?

— Jack Westondale. Jest tu już od trzech lat, pracuje, jak koń, pomimo to ma same straty i niepowodzenia. Nie znałem go dotąd, ale opowiadał mi Charley z Sitku.

— Ciężko to, kiedy człowiek, mając taką młodą, słodką żonę, rzucony jest w tym wieku do tego piekielnego kraju, gdzie każdy rok podwójnie wysysa człowieka.

— A najgorsze jest to, że los prosto go przesładuje, i nic nie pomaga zawziętość ani upór. Dwa razy już ryzykował i dwa razy tracił.

Rozmowę przerwał nowy wybuch wesołości i po chwili przestano się interesować podróżnym. Wkrótce też ciężkie lata głodu i troski zbladły i odsunęły się pod naorem bujnej fali porywczą wesołości. Tylko Malemute Kid nie mógł otrząsnąć się z nie-

uchwytnego wzruszenia i trwożnie spoglądał na zegarek. Nagle wstał, włożył rękawice, futrzaną czapę i, wyszedłszy z izby, zajrzał do spiżarni. Nie mógł też doczekać określonej godziny i obudził gościa o 15 minut wcześniej. Młody olbrzym zeszytniał ze znużenia i dopiero mocne szturchanie i rozcieranie postawiły go na nogi. Wywłócił się z wysiłkiem z izby, ale przed chatą znalazł już psy zaprzężone i wszystko gotowe do podróży. Cała kompanja życzyła mu szczęśliwej drogi, a ojciec Roubeau pobłogosławił go naprędce, poczem wszyscy natychmiast wrócili do izby, gdyż 70-cio stopniowy mróz palił tego odsonięte uszy i ręce. Tylko Malemute Kid pozostał i, ściskając serdecznie dłoń podróżnego, dawał mu dobre rady.

— Znajdziecie w saniach 100 funtów łososiowej ikry, mówił, psy pójda na tem tak długo, jak na 150 funtach suszonej ryby; a w Pely nie można kupić żywności, jak na to zapewne liczyć.

Podróżny drgnął, oczy mu błysnęły, ale nie przerwał ani słówkiem.

— Nie można dostać ani tutaj żywności aż do Five Fingers, a to stąd dobre 200 mil. Radzę wam poczekać w Thirty Mile River, aż ruszą lody, a wtedy zabierzecie się z pewnością na wielki statek „La Barge“

— Skąd wiecie? Pogłoski już mnie wyprzedziły?

— Nic nie wiem. Więcej wam powiem: nie chcę nic wiedzieć. Ale zaprzęgam, za którym gonicie, nie jest wasz. Charley z Sitki sprzedał mi go zeszłej wiosny. Ale mówił mi o was dobrze, a ja mu wierzę. Pozatem, przyjrzałem się waszej twarzy i polubiłem ją. Widziałem też, do licha, wszystko i tę żonę waszą i — tu Kid zrzucił szybko rękawicę i wyciągnął woreczek złota.

— Nie, nie, nie potrzebuję tego... Łzy zamarzły na jego policzkach, kiedy ścisnął konwulsyjnie dłoń Kida.

— Więc nie szcędźcie psów, odprzegajcie je natychmiast, jak ustana i kupujcie świeże. Nawet 10 dolarów za funt nie będzie za drogo. Można je dostać w Five Fingers, w Little Salmon i Hootalinqua. I uważajcie, żeby nogi były suche, dodał. Po każdym 25 milach — odpocząć, jeśli mróz się zwiększy — częściej rozpałać ogień i zmieniać skarpetki.

Upłynęło zaledwie 15 minut, kiedy dźwięk dzwonek oznajmił nowych przybyszy. Drzwi otworzyły się szybko i wszedł oficer północno-wschodniej straży konnej, a za nim dwóch metysów-poganiaczy. Podobnie, jak Westondale, byli wszyscy ciężko ubrojeni i widocznie straszliwie zmęczeni.

Metysi, urodzeni na szlaku, dobrze znosili podróż, ale młody oficer był porządnie zmachany. Niemniej jednak woła, właściwa jego rasie, utrzymywała go dotychczas na nogach i utrzyma, dopóki nie padnie trupem.

— Kiedy odjechał stąd Westondale? — zapytał. — Zatrzymywał się tu?

To ostatnie było już zbyt wyraźne, bo świeże ślady zdradzały wszystko zbyt wyraźnie.

Malemute Kid schwytał spojrzenie Beldona, ten zaś, czując, jaki wiatr wieje, odpowiedział wymijająco:

— Tak, sporo już czasu przeszło...

— No, no, mówcie poprostu, zachęcał oficer.

— Coś wam bardzo do niego pilno? Cóż? Był trochę za burzliwy w Dawson?

— Właśnie. Ograbił Harry Mac Farland'a na 40 tysięcy, zamienił je w P. C. Company na czek do Seattle i ktoś zabroni mu dostać tam pieniądze, jeśli nie zdążymy go pochwycić! Kiedy stąd wyjechał?

Wzburzenie, nagle wybuchło na twarz, pohamowano nachychmiast na niemy znak Kida. I znów młodego oficera otaczały już tylko drewniane, milczące twarze.

Wtedy ten, zwracając się wrost do Prince'a, powtórzył pytanie. Ale on, choć z uprzejmością patrzył w poważną, otwartą twarz młodego oficera, bąknął coś tylko niezrozumiale o trudnościach jazdy po tak złej drodze. Wtedy oficer zwrócił się do ojca Roubeau, który nie umiał kłamać.

— Wyjechał przed 15-tu minutami, odparł ksiądz, ale on i psy odpoczęły 4 godziny.

— Piętnaście minut tylko! I odjechał wypoczęty! Mój Boże!

Biedny chłopak, chwając się, zawrócił ku drzwiom, napół żywy ze zmęczenia i gniewu, mrużąc coś o drodze z Dawson, przebytej w 10 godzin i o zmęczeniu psów.

Malemute Kid wlał w niego szklanekę ponczu, poczem oficer wstał i zawołał na poganiaczy. Ci jednak zaprotestowali, ciepło bowiem i nadzieja odpoczynku zbyt była ponętną. Kid rozumiał i napół francuski dżalekt i trwożnie przysłuchiwał się rozmowie. Metysi przysięgali, że psy nie mają już sił, że Sivash'a i Babet'a trzeba będzie zastrzelić na pierwszej mili, że reszta również już do niczego i że wogóle najlepiej tu odpocząć.

— Sprzedajcie mnie 5 psów, — zwrócił się oficer do Malemute Kid'a. Ale Kid potrząsnął głową.

— Wystawię wam czek do kapitana Constantina na 5 tysięcy dolarów. Oto moje papiery — jestem upoważniony do wszelkich wydatków według mego uznania.

Znowu milcząca odmowa.

— A więc zarekwiruję je imieniem królowej!

Uśmiechając się niedowierzająco, Kid popatrzał na swą doskonale utrzymaną broń, anglik zaś, widząc swą niemoc, zawrócił ku drzwiom. Ale poganiacze nie przestali protestować. Wtedy oficer rzucił się na nich wściekle, wymyślając od niedołęgów. Twarz starszego metysa zapalała gniewem, zawrócił i oświadczył mu ostro, że gotów jest zdeptać własne nogi, byle tylko mieć przyjemność zasadzić go gdzieś w śniegu.

Młody oficer natężył całą swą wolę i skierował się ku drzwiom, siłąc się na rzeźkość, której nie posiadał. Ale zebrani widzieli i ocenili szlachetny jego wysiłek. Nie mógł też ukryć bolesnego skurczu, który wykrzywił mu twarz. Psy, prawie obumarłe, zwały się w śnieg i było wprost niepodobiestwem podnieść je na nogi. Biedne zwierzęta były pod uderzeniami bata, bo poganiacze byli rozwścieczeni i okrutni. I dopiero kiedy przodownikowi, Babetowi, odcięto postronki — innym udało się ruszyć z miejsca.

— Łajdak! Kłamca! Do licha, co za podłość! Złodziej! Gorszy od Indusa!

Widać było, że bardzo są gniewni, po pierwsze za oszukaństwo, po drugie za bezkarne złamanie etyki Północy, gdzie uczciwość uważana jest za najpierszą cnotę mężczyzny.

— I myśmy mu pomogli, wiedząc już, co to za jeden!

Wszystkie oczy zwróciły się na Malemute Kida, który wstał, wyszedł ze swego kąta, gdzie oporządził biednego Babetta i w milczeniu napełnił szklaniki dla ostatniej kolejki ponczu.

— Noc jest ciemna, chłopcy, gorzka, ciemna noc, — zaczął zdaleka obrońcą swą mowę. — Wszyscy podróżowaliście po szlaku i wiecie, co to znaczy. Nie bijcie psa, kiedy upada. Wysłuchaliście dopiero głosu jednej stony. Nigdy czystszy człowiek, niż Jack Westondale nie jadł z waszej misy i nie dzielił waszego łoża. Ale posłuchajcie: niedawno oddał cały swój majątek, 40 tysięcy, towarzysze, Joe Castrele dla kupienia udziału w Dominium. Dziś byłby już milionerem. Gdy jednak zatrzymał się w Circle City, pielęgnując chorego na szkorbut kolegę — cóż zrobił Castrele? Poszedł na pijatykę do Mac Farlanda i przegrał mu w karty wszystko, co do grosza. Nazajutrz znaleziono go martwego w śniegu. A biedny Jack wyrzekł się swego zamiaru powrotu tej zimy do młodej żony i synka, którego jeszcze nie widział. Zauważyliście, że wziął równo tyle ile przegrał jego towarzysz — 40 tysięcy. Dobrze. Pojechał. I cóż należało uczynić?!

Kid obejrzał wrażeń koła swych słuchaczy — sędziów, zauważył łagodność ich twarzy — i wznosił kielich.

— A więc — zdrowie podróżnego, co noc tę spędza na szlaku. Niechaj wystarczy mu żywności, niechaj psy jego nie ustają w drodze, niechaj zapalki nie odmówią mu ognia. Bóg niech go prowadzi, a szczęście nie opuszcza!...

— I niech przepadnie straż konna! — zakrzyknął Bettles, hucznie rozstrzaskując pustą szklanicę.

Tłom. z ang. S. K.

PIERWSZA WIELKA OKRĘŻNA WYSTAWA „SZTUKI DZIECI.”

Wykazywanie korzyści, płynących ze zwiedzenia wystaw Sztuki, jest na ogół zbędnym, chociaż sporo czasu jeszcze minie, zanim widz zrozumie, że naturalnym celem każdej wystawy jest wszczepianie w niego takiej sumy uroku artystycznego i tak silnych impresji wzrokowych, by one uwrażliwiły duszę nawet najzimniejszą i najobojętniej przechodzącą wobec uczuć i tęsknot, świadczących o istnieniu szlachetnych pierwiastków w człowieku. Te same cele powinny jasno przyświecać wystawie Sztuki Dziecka, która, jako wypadek rzadki a znamienny, mogłaby pobudzić cały myślący ogół do zajęcia się problemem Sztuki, twórczości i artystycznego wykształcenia dziecka. Trudno o sposobność bardziej odpowiednią.

Wystawa trwała od połowy maja do dn. 25 czerwca 1920 r., poczem ujrzy ją cały szereg większych miast Polski rdzennej i kresowej, gdzie pojedzie w misji kulturalno-oświatowej, jako dowód myśli i troski w przedmiotach tak na pozór zapomnianych i lekceważonych. Oby tylko frekwencja dopisała. Trzeba dążyć do tego, aby jaknajszerszy ogół mógł napatrzeć się owym przebogatym ścianom, zdobnym w świat marzeń, wyobrażeń i opowieści dziecięcych, owym albumom i pamiętnikom, rysowanym i malowanym bezpretensjonalnie, owym wytrwałym a czasem i żmudnym pracom i robótkom, zabawkom, spo-

ządzanym drobnymi rączynami z odpadków i nieużytków, próbom rzeźb i wyrzynanek i t. d., tworzonym z tak wybrakowanego i najostatniejszego materiału, że na myśl przychodzi znany wiersz:

„O Ty Ziemię Polską, Ty zawodną,
O Ty Ziemię polską tak bogatą....
Że mogłabyś...”

Trzeba ukazać to wszystko tym oczom, które szukają w życiu zadatków i zapowiedzi rozwoju i postępu, a pragną ofiarować na rzecz tego postępu i rozkwitu własną pracę i własne aspiracje, podporządkowując je myśli i potrzebom ogółu. Trzeba wystawę spopularyzować i trafić przy jej pomocy do garści takich ludzi, którzy będą mogli płodną myśl rozwijać, dzieło Wystawy uzupełniać i wzbogacać przyczynkiem prac własnych. Szczególniej cennym jest tu rozbudzenie zainteresowania zagadnieniami z dziedziny twórczości i psychologii wśród rodziców, nauczycielstwa i artystów. Wystawa daje im, podobnie, jak sferom rodzicielskim, dostateczną ilość materiału do dociekań, porównań, studjów i wniosków. Dzieciom samym niesie fale uroku, który oby im targnął serca aż do gruntu i wrył się w nie na stałe. Takie bowiem, jak to wyżej zaznaczono — powinno być działanie impresji artystycznej, a tylko impresją artystyczną winna być wystawa Sztuki, nigdy nie powinna udawać wiedzy, rutyny, lub książki naukowej.

W budynku Wydziału architektury Politechniki Warszawskiej przy ulicy Koszykowej Nr. 55, w pięciu parterowych salach, mieścił się olbrzymi, imponujący liczbą i charakterystyczną jakością materiału, nadesłany Ministerjum Sztuki i Kultury z okazji zapowiedzianej przed paru miesiącami Wystawy. Pierwsza sala zawierała artystyczne, wykonane z papieru kolorowego, prace, wśród których przeważały typowe wycinanki, układanki i wyplatanki, oraz ozdoby choinkowe z bibuły, słomki, tektury i nici. W sali środkowej, oznaczonej literą „B”, rozmieszczono prace wybitnych i nad podziw utalentowanych indywidualistów, zwracających na siebie powszechną uwagę, dzięki dorobkom, dowodzącym silnego tętna twórczości samodzielnej i twórczości wolnej — jeszcze na ogół — od manieri. Ślady inspiracji, tak niebezpiecznej dla artysty, pojawiają się niekiedy w licznych i prawdziwych arcydziełach, lecz w przeważnej części eksponatów, wystawionych w tej sali, (zwłaszcza w owych pracach wczesnych z przed ósmego roku życia) spotykamy je w ilościach, nie trwożących jeszcze. Inspiracją tą bywa owoc wykształcenia oczu dziecięcych na obrazach, nie mających nic wspólnego z dziecięcą duszą i jej potrzebami.

Są tu też ślady wpływu lektury wzrokowej i umysłowej, lecz ogólnie biorąc, przeważał w tej sali powiew prymitywu, niepodejrzanego, prawdziwego i pełnego jasnej szczerości. Wysoce wartościowe są szkicowniki, pełne wyznań przypadkowych, pełne ufnych spowiedzi. Wraz z rozmieszczonymi na stołach zabawkami, wynalazkami i „robotami“ ręcznymi (wśród których rycerskie zbroje, samoloty, okręty i t. d. mówią to, czego nie dopowiedział rysunek i kolor) dowodzą wszystkie prace ogromnej i przebogatej skali potrzeb dziecięcej duszy.

W trzeciej sali atrakcją była „baliki” z warsztatów krakowskich, a zwłaszcza szale jedwabne, mające pokup wśród obcych (Paryż, Londyn), wykonywane sposobem pisankowym przez dzieci, oraz

prace szkół artystycznych i zawodowych z Krakowa, Lwowa i Zakopanego. Bardzo piękne roboty ręczne (aplikacje i wyszycia) nadesłała jedna ze szkół ogólnokształcących z Częstochowy.

W sali tej, uderzały w martwy systemat dotychczasowych zapatrywań na kształcenie dziecka nowe metody nauczania, z których najdalej idącą jest metoda wprzęgania (w pracę rozwojową) twórczych sił wyobraźni dziecięcej, metoda czerpania z dziecięcej duszy. O metodzie tej osobno przyjdzie nam pisać.

W dalszych dwu salach mieściły się typowe prace szkolne. Mówią one same i oskarżają się, a raczej oskarżają program nauki szkolnej tak wyraźnie, że wszelkie napisy i objaśnienia są zbyteczne. Oschłość, chłód i ubóstwo — stworzone warunkami zmechanizowanej zbiorowej nauki — nie dadzą się uzasadnić, ani nazwać koniecznością. Należy je obalić jaknajrychlej i usunąć za wszelką cenę, jeśli szkoła nasza ma spełnić takie zadania, jakich po niej oczekujemy. Należy dostosować warunki nauki do celu nauki, a nie przeciwnie.

Ministerjum Oświaty winno nareszcie zrozumieć, że najpoprawniejsza gramatyka, że najpewniejszy słownik, że najobszerniejszy katalog jest niczem w porównaniu z jednym wierszem, z jedną myślą twórczą, z jedną myślą żywą, z jedną linią szczerą.

Trzeba przyznać, że przez Wystawę Sztuki Dziecka, Ministerjum Sztuki szczęśliwie rozpoczęło ważne i pierwsze kroki w dziedzinie tych zamierzeń, jakie w początkowych komunikatach o Wystawie zapowiedziało. Wystawa „Sztuki Dziecka„ jest przedsięwzięciem otwierającym wrota do nierozwiązanych po dzień dzisiejszy problemów twórczości. Zbadanie warunków, form i środków wykształcenia artystyczno-estetycznego jest gwałtownie pilną pracą, której ogrom przenosi chęci najofiarniejszych nawet jednostek prywatnych.

Przytem jest to obowiązek o tak ogólnem i państwowem znaczeniu, że wypełnienia go, można i wolno wymagać tylko od Państwa.

Atoli sama wystawa nastęrcza nam jeszcze parę uwag ogólnych, które Ministerjum Sztuki i Kultury winno dobrze rozważyć przed następną lub podobną wystawą. A mianowicie są pewne cele, pewne potrzeby, pewne wydatki, przy których liczenie się z kwestją kosztów jest małodusznością i brakiem wiary w wielkość włanej pracy.

Wystawa Sztuki Dziecka nie powinna mieścić się kątem w łaskawie ofiarowanym gratisowym lokalu, lecz w salach naprawde wystawowych, przy pryncypalnej ulicy, w okazałym i celowo zbudowanym gmachu, by widzowi wpadać w oczy i zmusić go do zajęcia się sobą. Nieumiejętność zdobycia środków na cele ważne i pierwszorzędne jest w takich razach dyskwalifikacją urzędników, chociaż nie jest dyskwalifikacją urzędu.

Powtarzamy, że to są potrzeby o tak ogólnem, i państwowem znaczeniu, że tylko niedołęstwo lub ślepotę może je zlekceważyć. Niedołęstwo zaś i ślepotę w rzeczach dotyczących dobra ogółu, należy tępić bezwzględnie, jako grzech popełniany przeciw społeczeństwu i państwu.

Trzeba raz zdobyć się na odwagę i umieć zawołać, że potrzeby sztuki i kultury są potrzebami ogółu, o wiele bardziej wymagającymi podpory ze strony autorytatywnej, aniżeli wszelkie inne uznane

już konieczności państwowe i społeczne. Nie można czekać aż Ministerjum Skarbu lub Wojny rzuci dar z łaski lub z własnej inicjatywy ofiaruje drobną kwotę na cele, o które przystoi stanowczo i odważnie upomnąć się Ministerjum Sztuki i Kultury. „Wypełnianie zadań związanych z estetyczną kulturą“ „ Studium warunków i możliwości rozwojowych twórczości“ „rozszerzanie zamiłowań artystycznych i uszlachetniających wytwór Sztuki.“ „Gromadzenie materiału naukowego dla psychologii zarodków twórczości.“ — oto oficjalne z racji wystawy wypowiedziane obowiązki i dążenia, których przy małodusznej i trwożliwej uległości, nigdy się nie wypełni.

Dość powiedzieć, że Ministerjum Sztuki i Kultury nie ma do dzisiaj własnego pawilonu wystawowego, lub choćby baraku odpowiednio przystosowanego, i ofiarności prywatnej lub zbiorowej, zawdzięczać musi sale wystawowe. Drugą refleksją, która uderza widza z racji inicjowanej przez Ministerjum Sztuki i Kultury Wystawy „Sztuki Dziecka“, jest przewaga pierwiastków dydaktycznych i umysłowych nad impresją artystyczną, która w dziele każdej wystawy form plastycznych winna być bezspornie naczelnym fundamentem wystawy. Czy Ministerjum Sztuki i Kultury pragnęło dać dzieło pozytywne czy dysputować beznadziejnie i aż do znudzenia z tem, co jest uznane za złe, zbutwiałe i w próchno się obraca? Po cóż te napisy na wystawie, napisy często zbyteczne, a chociaż tu i ówdzie szluszne, to jednak tak subiektywne i tak osobisty pogląd i sąd zawierające, że obok nich należałoby zamieścić dla równowagi piętnaście choćby innych orzeczeń, by dotrzeć do ideału: wolnego, niesugestjonowanego sądu u widza. Czyta się te napisy kosztem i nakładem tej energii, którą uczucie zużył i absorbować na wystawie powinno. Wszakże trzeba to było realizatorom inicjatywy ministerjalnej jasno wyłożyć, że wystawa „Sztuki dziecka“ nie może kolidować z podręcznikiem o metodzie, z odczytami lub z artykułem krytycznym o kierunkach i metodach nauczania. W ogólności trudno nie zauważyć, że początkowo jasna i zdecydowana linja wystawy Sztuki Dziecka, zapowiedziana i ujawniona w komunikacie oficjalnym, z września 1919 r. a także w (Uw. ogólnych*) że linja ta doznała remodelowania, tak, jakby wystawa była celem sama w sobie. Zawiniła tu realizacja dzieła wystawy, która okazała się ostatecznie tak trudną jak wielką.

Do tematów nastęrczanych Wystawą Sztuki Dziecka wrócimy jeszcze, aby osobno zadokumentować nie małą wagę inicjatywy, w tej sprawie, zapisującej się na poczet doskonałych plusów Ministerjum Sztuki i Kultury. Podobnie wrócimy jeszcze do innych, mogących powstać w związku z tem, tematów.

K. Ratowski

*) Patrz Przewodnik po wystawie „Sztuka Dziecka“.





Wzięcie do niewoli generała przez Moskali.



Czarownica.



Boją się djabła.



Kurczęta.



Scena z życia.



Na białym koniu.



Ornament.



Z WYSTAWY „SZTUKA DZIECKA“.



dzisiejszym zeszycie „Światła“ dajemy czytelnikom naszym szereg reprodukcji z prac dziecinnych, umieszczonych na wystawie „Sztuka Dziecka“. Z reprodukcji tych widać, jak wiele dzieci mają fantazji i jak cudownie potrafią znaleźć odpowiednią formę do wyrażenia swych twórczych wizji.

Oto obrazek, umieszczony na tytułowej stronie „Światła“, przedstawiający jakieś senne zwidzenia. Dziwne, fantastyczne stwory, jakieś demony z głowami zwierzęco-ludzkimi, ożywionymi całą skalą różnorodnych wyrazów, zebrały się przy czyjemś łóżu, widniejącem z boku obrazu. Cały ten tłum istot, odzianych przeważnie w różnobarwne szaty, patrzących czarnymi głębiami pustych oczodołów w stronę łóża, zda się składać radę czy sąd nad człowiekiem. W górę, na prawo obrazu, widzimy postać ludzką, patrzącą ziemskimi oczyma w głębie niebios. Postać ta wygląda, jakgdyby śpiewała jakąś ostatnią modlitwę. Scena ta narysowana jest na tle głęboko czarnem — w jednym miejscu przerwaniem tylko pasmem iskrzących białych obłoków. Po tej czarnej otchłani w górze, nad gromadą zjaw-szatanów, płyną ryby. Cała kompozycja pod względem rozłożenia płaszczyzn i linii, pod względem koloru i wyrazu jest bardzo artystyczna. Malował ją chłopiec 10 letni.

Inne reprodukowane tu dzisiaj obrazki dzieci, owo „Wzięcie do niewoli generała przez Moskali“ pełne gwałtownego ruchu i życia, owa bajeczna „Czarownica“, owe „Dzieci“, ślicznie ujęte w grupę, które „Boją się djabła“, dalej z nadzwyczajnym charakterem narysowane kurczątko, jakaś scena rodzinna, wykonana sposobem wycinankowym i biały koń, dumnie stąpający. Wszystkie mają jedną wspólną cechę: świeże tchnienie wolnej, twórczej fantazji. Dwa ornamenty skomponowane są rytmicznie i mądrze — jest tam doskonale rozwiązany problem ozdobienia danej płaszczyzny, jest przytem wdzięk, świeżość i czar niezrównany. To, co tu reprodukuje, jest tylko małą częścią niezmiernie interesującej wystawy. Należy się spodziewać i jest to, zdaje się, w zamierzeniu organizatorów wystawy, że dzieła w niej ukazane będą wydane w barwnych odbitkach i rozesłane do wszystkich szkół polskich. Wydawnictwo takie położyłoby się kamieniem węgielnym pod gmach sztuki dziecka w Polsce i byłoby dla wszystkich polskich dzieci początkiem artystycznej własnej tradycji.

Niezmiernie interesującym jest przewodnik po wystawie, z którego tu przytaczamy częściowo dwa artykuły:

„W jakim celu zrobiono tę wystawę i — czy nie będzie to przypadkiem z a b a w k a, zgoła zbędna w tych czasach wojny, anarchji, drożyzny i szeregu klęsk, z tem związanych?”

Ktokolwiek zada sobie trud uważnego obejrzenia wystawy, przyjdzie do wniosku, że miała ona pewne określone zadania i to — o wiele poważniejsze, aniżeli mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. I że nie chodziło tu wcale o zadowolenie próżności dziecięcej, czy rodzicielskiej.

Wystawa zrobiona jest dla rodziców, a przedewszystkiem — nauczycieli, którym winna wiele powie-

dzieć o duszy małych istot, ich opiece powierzonych. Jest ona wielką demonstracją dla stwierdzenia rzeczy — niestety, dla wielu jeszcze niejasnych, albo zgoła — nowych.

Z siłą nieprzepartą mówią nam te papierki milczące, że w dziecku grają popędy twórcze i to z potęgą żywiołową, nieznaną wiekowi późniejszemu. Dokumenty tej twórczości tak bujnej i różnorodnej w wątku, w technice i w formach są jednocześnie czemś bezcennem dla psychologa i dla artysty, a to, ze względu na ich szczer o ś ć wypowiedzianą się, zwłaszcza jaskrawą w okresie od lat 4 do 8.

Ta ich szczer o ś ć pozwala nadto stwierdzić, że są one niezmiernie i n d y w i d u a l n e i to nie tylko indywidualnymi cechami właściwymi każdej płci, ale — każdej jednostce. Dla kogo wyraz „indywidualność“ nie jest dźwiękiem bez treści, albo wytartą monetą obiegową snobizmu współczesnego, ten rozumie, jakie obowiązki nakłada stwierdzenie jej u dziecka na jego wychowawców.

Ale obok wniosków radosnych, świadczących o bogactwie duchowym dziecka polskiego, wystawa dała nadto materiał do innych — mniej pocieszających.

Wśród paru tysięcy prac wystawionych jest znaczna ilość szkolnych, pomieszczonych osobno w salach D i E i te stanowią z poprzedniami kontrast poprostu tragiczny. Kiedy się przechodzi z sali twórczości samodzielnej do sal szkoły ogólnie kształcącej z mnóstwem starannie, pedantycznie wykonanych rysunków, z których zieje nuda, chłód i ubóstwo, ma się wrażenie, że z kwitnącego, słonecznego ogrodu zstąpiliśmy do zimnych i wilgotnych piwnic.

Czy to są te same dzieci? Gdzie się podziały te kwiaty świeże? Czy to, co tu wystawione, ma być ich owocem?

Wystawa siłą faktów, mimo woli i nad przewidywanie organizatorów, zamieniła się w akt oskarżenia współczesnej szkoły ogólnie kształcącej.

Teraz stało się jasnym, dlaczego lekcje rysunków, zamiast być godzinami radości, stają się dla nich godzinami nudy tak dalece, że dzieci często woła historję, przyrodę, nawet matematykę.

Tak samo stało się jasnym, jak metody niemieckie, bo te górują na wystawie, są nieodpowiednie dla ducha polskiego, to jest dla tego pierwiastka, który winien stać się punktem wyjścia do budowania metod wychowawczych. Dział szkoły ogólnie kształcącej zdradza nieświadome wprowadzie, jednak zupełne zlekceważenie tego, co jest bogactwem duszy polskiej, a więc — fantazji, poczucia barwy, zmysłu dekoracyjnego, zdolności do zapału i t. d.

Dla każdego, kto umie jasno na te rzeczy patrzeć, staje się oczywistem, że idziemy drogą niewłaściwą. W metodzie szkolnejtkwi jakiś ogromny, zasadniczy błąd — dzieje się jakaś nie dla wszystkich dostrzegalna — niemniej — ogromna krzywda, która ważyć musi na przyszłości narodu, jeżeli nie zdołamy jej w porę usunąć.

Jak ją usunąć, to sprawa do omówienia, na dziś wystarcza, jeżeli jasno i w całej nagości stanie przed nami sam problem konieczności reformy wychowania artystycznego młodzieży, jeżeli nauczycielstwo i organa Ministerjum W. R. i O. P. wezmą pod pilną rozwagę zagadnienia, wysunięte przez wystawę.“



Miseczka



Puszka

wykonane przez dzieci w Warsztatach Krakowskich.

Dalej p. F. Janczyk w pięknie skreślonych uwagach ogólnych, dotyczących wystawy, pisze:

„Niechaj widz jednak zapomni o swoim świecie osobistym, o swoim wieku, o tradycjach i wzorach, które jego umysł i oko kształciły, natomiast niech szuka duszy dziecka, patrząc przez prymitywny pryzmat jego szczerych, niezmanierowanych i idealnych uczuć, a wrażliwością szczerych, iście dziecięcych spojrzeń, niechaj bada wysiłki, przez dziecko w kierunku ujawnienia Sztuki, czynione. W wysiłkach tych i próbach, znajdzie więcej bezpośredniości, aniżeli na każdej z typowych wystaw szukał i znalazł. A następnie niechaj widz rozstrzygnie tylko to jedno zapytanie: czy popęd twórczy jest przywilejem lat dojrzałych, czy też objawia się już w dziecku.

I niechaj widz powzięte przekonanie konsentnie i odpowiednio zużyje.

Niech zgłębi i dostrzeże przepaść, oddzielającą „wirtuoza“ od twórcy, uczucie od patosu, twórczość od zręczności, miarę i harmonję od automatu i kalkulacji, a wrażliwość duszy od tresury.

Niechaj zauważy, że wszelka ludzka wola, talent, wytrwałość i wiedza, giną bez ratunku, jeśli motorem ich działania nie staje się popęd twórczy.

Nie szukaj tu artystów, dzieł sztuki i cudownych dzieci, lecz otwórz głęboko oczy i pytaj o młodą duszę ze wszystkimi tajemnicami i zapowiedziami wiecznego żywego nieśmiertelnego istnienia.

Znajdziesz wołanie o radosną szkołę pracy, o świadome celu kierownictwo, prośbę o opiekę i podnięcie, o materiał pracy i o zabawkę wreszcie. Dojrzyysz momenty olśniewających objawień, ale i długie tygodnie i lata pracy żmudnej, znieczulającej młodą wyobraźnię, prowadzącej w życie przez zniechęcające ścieżki niezrozumienia celów, zadań i materiału, przez pokusy, wiodące do tanich efektów, do zgubnych manier, do aspiracji zawiedzionych, starych i wynaturzonych, a wśród tego dostrzeżesz ślady metod, wyrosłych z erudycji, miast z serca i z natury dziecka.

Dostrzeżesz je sam — jeśli zechcesz — a wobec tych rezultatów przyznasz, że niewygasające zamiłowanie do pracy twórczej, nieustanne wśród wszelkich przeciwieństw dążenie do wyrażania się artystycznego, owo niezaspokojone pragnienie pracy twórczej jest największym dowodem wagi i powagi zagadnień twórczości, która, mimo chwilowego jarzma, nie pozwoli się obalić i unicestwić.“

NA MARGINESIE CHWILI.

23.

Na pojęcie abstrakcyjne: człowiek — składa się zarówno mężczyzna, jak kobieta. Pełnym człowiekiem w tym znaczeniu nie jest ani mężczyzna, ani kobieta. Płcie te dopełniają się wzajemnie i dopiero w sumie stanowią pewną harmonijną całość. Każda, oddzielnie wzięta, stanowi odrębny typ nie tylko pod względem fizjologicznym, lecz i psychicznym. Ma to miejsce przecież raczej w teorii, bo w życiu realnym wypuklają się wyraźnie jedynie różnice fizyczne. Cechy i skłonności psychiczne, czy raczej psycho - fizyczne, są pomieszane. Cechy i skłonności męskie spotykamy nieraz w kobiecie i naodwrot, cechy i skłonności żeńskie — w mężczyznach, nie mówiąc już o wypadkach osób wybitnie dwupciowych. Ile jednostek ludzkich we wszechświecie, tyle niemal — odmian całkowania pierwiastków męskich i żeńskich. A jednak, pomiędzy pierwiastkami temi, zarówno w poszczególnych jednostkach, jak i ich zespołach, istnieje nie tylko całkowanie, symbjoza lecz i walka. O ile chodzi o zachowanie gatunku, wpływ dominujący ma kobieta, o ile zaś chodzi o zdobywczość, rozwój, rola główna przypada mężczyźnie. Ścieranie się i walka pierwiastków męskich i żeńskich przewijają się, jako oman, przez całe życie ludzkości. I — zależnie od warunków — mają przewagę te lub tamte.

Natura żeńska, jak określa ją Weininger, żydów objaśniać się da przedewszystkiem warunkami ich bytu, stanowiskiem defensywy rasowej w środowisku aryjskiem. W tych warunkach — pomimo stosunku religijnego do kobiety — pierwiastek psycho-fizyczny żeński musi odgrywać dużą rolę, jako czynnik zachowawczy. Śmiem twierdzić, że w tym znaczeniu i naród polski — dzięki niewoli — stał się społecznością, w której pierwiastki kobiece grają rolę dominującą, Kobieta i rodzina były w ciągu półtora wieku twierdzami, poza które chroniło się życie narodowe przed wrogiem zewnętrznym. Kobieta odegrała w tym okresie dziejów polskich rolę doniosłą i miała wpływ wielki na ukształtowanie się duszy narodu. Dla ochrony bytu narodu, dla przetrwania niewoli było to konieczne, lecz dla rozrostu cech zdobywczych, rozwojowych było to szkodliwe. Pierwiastki żeńskie wybujały na niekorzyść męskich i przytłoczyły je.

Cechy żeńskie — to bierność, zachowawczość, uczuciowość, brak krytycyzmu. Cechy te obserwujemy dziś na wszystkich polach zbiorowego życia narodu. Są one groźną przeszkodą do budowania w trudnych niezmiernie warunkach samodzielnego bytu. To też musimy dziś wyteńczyć wolę i energię, aby wyzwolić się z pod cech tych, musimy wyzwalać w sobie pierwiastki męskie, rozwojowe. Będzie to z pożytkiem zarówno dla mężczyzny, jak kobiety. Bo nie ulega kwestji, że ciężka misja dziejowa, jaka przypadała kobiecie w Polsce, przytłoczyła jej duszę, nie dała rozwinąć się w niej naturalnym pierwiastkom kobiecym, uczuciowym, pokryła oblicze jej szminka pruderji i obłudy.

Dążąc do wyzwolenia narodu polskiego z pod przewagi pierwiastków żeńskich, nie należy, ma się rozumieć, mieć na widoku wzoru Niemiec, gdzie to wyzwolenie pod wpływem ducha zakonu krzyżackiego poszło za daleko, Sprusaczenie i zmilitaryzowanie zachwiało równowagę duszy niemieckiej, zrodziło butą wstrętą, wyjałowiło ducha z pierwiastków subtelnych uczucia i musiało w skutkach sprowadzić katastrofę. Należałoby raczej iść drogą francuzów, to jest oddać kobiecie, co jest kobiecego, a samym przeżyć mózg i mięśnie do wyteżonej i celowej walki z przyrodą.

24.

Jacyż to są socjaliści — mówią wrogowie nasi — kiedy żyją tak, jak my, ubierają się, jak my, mieszczą, jak my. Socjalista — ich zdaniem — powinien całym układem i sposobem życia dokumentować swoją łączność z masami upośledzonymi i przeciwstawiać się otoczeniu burżuazyjnemu. Wrogów socjalizmu irytuje, że ludzie, nie odróżniający się od nich pod względem zewnętrznym, a często przewyższający ich pod względem intelektualnym, duchowym, występują w imię interesów klasy najmitów. Ludzie ci udają, że nie mogą zrozumieć, czy też istotnie nie są w stanie zrozumieć, że ideałem socjalistów nie jest byt nędzarzy, że, przeciwnie, dążą oni do tego, by stworzyć warunki, w których by każdy człowiek pracy mógł mieszkać, ubierać się i żyć jaknajlepiej. Inna rzecz, że każdy socjalista powinien całym układem i sposobem życia dokumentować swój światopogląd, winien stosować swe poglądy tam, gdzie to jest dziś już możliwe, winien starać się żyć w zgodzie z głoszoną zasadą. Nie znaczy to przecież, aby soc-

jalista miał się specjalnie charakteryzować, ubierać, jak to robili socjaliści rosyjscy z przyczyn natury konspiracyjno-agitacyjnej. Socjaliści dążą do tego, by warunki zewnętrzne życia ludzkości wyrównały się nietyle kosztem zniwelowania szczytów kulturalnych, ile bardziej celowej organizacji wytrwania. Socjalista nietylko może, lecz powinien starać się żyć w warunkach zewnętrznych, możliwie najlepszych, a więc mieszkać, ubierać się, odżywiać, zaspokajać potrzeby umysłowe i estetyczne. Jeden jest niezbędny warunek: potrzeby swoje socjalista-proletariusz może zaspokajać tylko na drodze pracy najemnej. Mogą zdarzyć się wypadki, że ludzie, należący do klasy posiadaczy, sympatyzują z socjalizmem. Ludzie ci mogą być względnie szczerzy wobec samych siebie. Są to wypadki rzadkie i, jako takie, należą do wyjątków. Lecz socjalista, który zajmuje się handlem, pośrednictwem, który bierze udział w spółkach akcyjnych, gra na giełdzie, sprzeniewierza się bezwzględnie swemu światopoglądowi, zadaje kłam swym przekonaniom i, choćby miał pełne usta frazesów rewolucyjnych, socjalistycznych, socjalista być przestaje. I nie pomoże tu żadna wykrętna sofistyka, dowodząca, że w warunkach ustroju kapitalistycznego nie można stosować miar ustroju nieistniejącego i trzeba korzystać ze sposobów do życia, jakie dany ustrój zapewnia.

Najbardziej pasożytniczą i ujemną stroną ustroju kapitalistycznego jest pośrednictwo. Jaskrawo uwidoczniły ją czasy obecne. Paskarstwo wszelkiego rodzaju stało się zmorą ludzkości. Walczyć z pośrednictwem socjaliści mogą i powinni już dziś. Istnieje gotowa komórka rozwojowa dla walki z pośrednictwem — kooperatywy. Człowiek przeto, który uważa wszelkie pośrednictwo prywatne za pasożytnictwo, nie może uprawiać sam tego pasożytnictwa w żadnej formie i czerpać z niego podstawy bytu.

25.

Wskutek połączenia się organizacyjnego Narodowego Związku Robotniczego z Narodowym Stronnictwem Robotniczym z b. zaboru pruskiego powstała na obszarze Rzeczypospolitej nowa partja proletarjacka, Narodowa Partja Pracy. Jest to organizacja młoda i niejednolita. Powstała ona z części, zorganizowanych i urabianych w duchu antysocjalistycznym. Lecz jest to organizacja najmitów, która musi przechodzić i będzie przechodzić liczne przeobrażenia wewnętrzne. Bez względu na to, jak ułożą się w najbliższym czasie stosunki Narodowej Partji Pracy do partji socjalistycznej, P. P. S., nowy ten czynnik polityczny wśród klasy najmitów polskich przy wszelkich posunięciach taktycznych należy brać pod uwagę

26.

Polityka zewnętrzna narodu jest owocna tylko wtedy, gdy płynie nie z pobudek negatywnych, lecz pozytywnych, gdy kieruje nią nie obawa przed tem, czego nie chcemy, lecz świadomość jasna tego, czego chcemy, do czego dążymy. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z polityką bierną, od wypadku do wypadku, w drugim z polityką czynną, celową, zapobiegawczą. Lecz polityka narodu, którego formy bytu są demokratyczne, może być czynna, celowa i zapobiegawcza tylko wtedy, gdy istnieje

w nim określona, stała i świadoma swych interesów większość. Gdy większości tej niema, lub gdy większość ta jest ciemna i nie rozumie swych interesów życiowych, nie może być mowy o polityce wyraźnej i celowej. W Polsce warunki dziś złożyły się tak fatalnie, że oba te ujemne czynniki istnieją naraz. W sejmie większości stałej niema, a ta większość, która powstaje doraźnie, jest ciemna i nie orientuje się zupełnie w złożonych i trudnych zadaniach polityki zewnętrznej. W tych warunkach organ wykonawczy, t. j. Rząd skazany jest na mydłkowanie i „patkowanie“, a narodowi grozi klęska.

27.

Powiadają, że Polska nie może zawierać pokoju „za wszelką cenę“.

Pięknie. Niechże więc Polska powie, na jakich, mianowicie, warunkach pragnie pokoju i za jaką cenę. Nie to jest bowiem najniebezpieczniejsze, że Polska wojuje, lecz że niewiedomo, po co, na co i dla kogo wojuje. Być może, że jest do tego zmu-

szona, wbrew własnej woli. Ale w takim razie zarówno Sejm, jak Rząd powinny to uczynić wszem wiadomem. Prasa zagraniczna oskarża Polskę o złą wolę, o mączenie pokoju, o zamiary imperjalistyczne, o sięganie po cudze. Co robi Sejm i Rząd, by wykazać publicznie, że oskarżenia są niesłuszne i fałszywe? A nie chodzi tu o zabiegi w przedpokojach dyplomacji europejskiej, lecz o informowanie szerokiej opinii. Nic absolutnie. Bo jedyną odpowiedzią na intrygi i zabiegi wrogów z zachodu i utalentowanych dyktatorów Rosji Sowieckiej może być tylko oświadczenie głośne i wyraźne, że Polska pragnie pokoju na określonych podstawach. Tego ani Sejm, ani Rząd nie czynią.

W tych warunkach każdy dzień istnienia tego Sejmu jest zbrodnią wobec najistotniejszych interesów narodu. Wszystkie świadome sytuacji czynniki społeczne, a w pierwszej linii proletariat, powinny domagać się natychmiastowego rozwiązania Sejmu, nie czekając na jego „Konstytucję“. Niema chwili do stracenia.

Bronisław Siwik.

WOJNA.

Wojna zbiera u nas jeszcze swoje krwawe żniwo. Czy te pola polskie tak urodzajne w ludzi, czy los straszliwy ciąży nad nami? — gdy inne narody złożyły już broń — Polska wciąż broczy krwią.

Kiedyż się to skończy?

Tymczasem wojna trwa...

Oto płyną szarą falą szeregi żołnierskie, długie treny — logony wozów ciągną za nimi. A myśl bliskich, pozostałych w domu, towarzyszy szarym,

wraca widzenie: — stare, które przeminęło już dawno, zapomniane na jawie, a potężne, jak żywe we śnie, zdarzenie w gronie najbliższych.

A przed żołnierzem porywa się z osiedli swoich, spędzona grozą wojny, chmara uciekinierów.



Uciekinierzy ukraińscy z terenów, zajętych przez wojska bolszewickie.



Jeden z agitacyjnych plakatów bolszewickich.

zagubionym wśród obcych pól postaciom — i drży w lęku, że nie wrócą już, zatracą się na obczyźnie. A żołnierz idzie, gdzie go pošlą, według rozkazu, zapatrzony oczyma serca i duszy poza siebie. W znoju, w kurzawie pylnych dróg, w stępieniu na wszystko co go otacza — jedno drży w nim uczucie smutne i radosne zarazem: — wspomnienie domu, wspomnienie drogich, bliskich osób. W martwym, głębokim, a niespokojnym śnie żołnierza, gdzieś naprzygodnem legowisku — jedno po-

Jedni przeżyli już rozszalałą nad ich wsiami, burzę wojny, kiedy hardy grzmot był piorunem, hardy piorun rozdrabniał się, mnożył i dziesiątkami kładł trupy — siał pożogę i śmierć.

Ci drugi raz nie chcą tego przeżyć — wolą tułaczkę na obczyźnie — wolą życie niepewne z dnia na dzień w nędzy i poniewierce — niż jeszcze raz przejść przez piekło bitwy.

Innych gna sam strach przed wojną, gna zaślyszana okropność jej skutków.

Drogę uciekinierów znaczą wzgórki mogił. Padają najmłodszy i najstarsi, giną słabsi. Niewielu przetrwa czas tułaczki. Znana jest ta dola tysiącom chłopskich rodzin polskich, wyrwanych z kraju przed pięcioma laty i często po dziś dzień więzionych po tamtej stronie linii bagnetów.

Wojna trwa — rzesze uciekinierów z jednej i drugiej strony zwiększają się; — i zwiększa się ilość wsi, zrównanych z ziemią. Niejedna rodzina gniazda swego już nie zobaczy: — po powrocie uderzy ją w oczy czarny szkielet pogorzelniska.

Żołnierz idzie naprzód, lub cofa się, jak zdarzy los wojny; — przestał już czuć jej okropność, poddał się jej prawom, czy bezprawiu, w duszy jego zanikają niepotrzebne na wojnie czułość i litość. Nie wszyscy odnajdą je po powrocie. Wielu wróci z wojny z sercem zaskrzepłym, z wystygłą, zabita duszą.

Nietylko oni grają rolę na wojnie. Armata, karabin, tanki i t. d., to tylko jeden rodzaj oręża. Stworzyła go praca. Praca ludzka, której dziełem

winno być budowanie lepszych form życia i narzędzi jego ułatwienia, stworzyła narzędzia śmierci. Tak używany jest dzisiaj wysiłek ludzki. Lecz obok narzędzi fizycznej walki widzimy na wojnie nie mniej ważny oręż walki duchowej.

Gdy armata ma razić ciało wrogiego żołnierza, plakat, odezwa agitacyjna ma zniewolić duszę własnego żołnierza i jego rodziny w domu.

Oręża plakatu używa na ogromną skalę Rosja bolszewicka. — Roi się tam od takich agitacyjnych plakatów. Jaskrawe, wyraźne, zrozumiałe w rysunku idei — narzucają się one każdemu i przez oczy obserwatora — ten najważniejszy organ poznania mają włóczyć do mózgow i serc widzów ideje korzystne dla państwa.

Fotografie z wojny, które zamieszczamy w dzisiejszym zeszycie „Światła“, robione są na Ukrainie podczas ostatniej ofensywy wojsk polskich na Kijów.



Polski tabor wojskowy



Walka z aeroplanami

Fot. dla „Światła“ M. Fuks.

Sprawozdanie z IV Zjazdu krajowego

Zw. Zaw. Rob. Rol. Rzeczpospolitej Polskiej.

W dniu 3, 4, 5 czerwca b. r. odbył się IV Zjazd Zw. Zaw. Rob. Rol. Rz. Pol. pod przewodnictwem tow. Jana Kwapińskiego. Zjazd miał za zadanie określić taktyki Zw. Zaw. Rob. Rol. na przyszłość.

Ze spraw bieżących na czoło wysuwała się sprawa bezrobotnych robotników rolnych, którzy, dzięki niestosowaniu się ziemian do ugody, jakoteż mylnemu interpretowaniu przez Ministerjum Pracy i Opieki Społecznej I i II punktów Ugody Zbiorowej z dnia 24 lutego b. r. zostali pozbawieni pracy. W tej sprawie Zjazd zajął określone stanowisko, popierające Zarząd Główny w jego dotychczasowej akcji, mianowicie, przychylił się do tego, aby bezrobotnym dać parcele, dzierżawy i zakładać gospodarstwa kooperatystyczne przy pomocy Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych.

Następnie Zjazd Krajowy zajął się organizacją wewnętrzną Związku i uposażeniem funkcjonariuszy.

W organizacji przyjęto regulamin koła miejscowego

i oddziału powiatowego, który określa funkcje Zarządu Koła, delegata i Zarządu powiatowego.

Stosunek do wojny znalazł swój wyraz w rezolucji, zgłoszonej przez tow. Baranieckiego, przyjętej przez aklamację. Zjazd również postanowił przejąć od P. P. S. „Niedolę Chłopską“ i wydawać ją, jako organ Związkowy.

Na zjeździe tym Zw. Robotników Rolnych zwiększył i wzmocnił organizację swoją. Z wielkiej, słabo zorganizowanej masy — związek ten staje się zwartą, gotową zawsze do walki, falangą.

Prezydjum ukonstytuowało się jak następuje: tow. Kwapiński Jan (przewodniczący) tow. Calski Antoni, zastępca przewodniczącego, tow. Nowicki Marjan (sekretarz) tow. Mieczkowski Władysław (skarbnik).

Do Sekretariatu Centralnego wybrani zostali tow. tow. Kwapiński Jan, Nowicki Marjan, Mieczkowski Władysław, Baraniecki Stefan, Baranowski Władysław.

Wśród rezolucji przyjętych, zwraca uwagę uchwała w kwestji rolnej, przeciwstawiająca się chciwości i cynizmowi chłopów, którzy chcą rozdrapać rolę pomiędzy siebie, a formali postawili do warsztatu pracy.



IV Zjazd Związku Zaw. Rob. Rolnych (odbył się w Warszawie, 3—4—5 czerwca b. r.).

Z WYDAWNICTW. A. RZEWSKI: Za wolność i lud *). Naszej szczupłej literaturze pamiętnikarskiej, szczupłej i ubogiej ponad miarę i spodziewanie, przybyły dobre i ciekawe wspomnienia A. Rzewskiego. Jest to już drugi tomik wspomnień tego działacza robotniczego. A że przeżywał on wiele i był uczestnikiem najrozmaitszych wydarzeń, więc też i wspomnienia jego są żywe i obrazują cały szereg zdarzeń interesujących i możliwych tylko w życiu rewolucjonisty. Zarazem zdarzenia to typowe; rzucają one światło na ten tak bujny, choć w podziemiach płynący strumień istotnego czynu, istotnej mocy i walki.

Rzewski nie jest zawodowym i wyrobionym literatem. W jego wspomnieniach nie znajdujemy pogoni za nadzwyczajnością sytuacji, wyszukanych zwrotów i wylworności języka. Rzewski pisze prosto, tak jak prosto przeżywał te chwile, które dziś czyni przystępnymi dla szerokich kręgów czytelników.

Ale nie brak mu siły w obrazowaniu. Tak „Posiew fanatyzmu” — chociaż pisany prosto, jak wszystko, co znajdujemy w tej książce, przemawia do czytelnika całą grozą sytuacji zesłańców, otoczonych przez podbechtany, nienawidzący ich tłum tubylców.

Odrębny charakter — nie wspomnień — posiadają tu dwa tylko utwory: „Wódz bojowców” i „Szara dola”. Pierwszy z nich to sylwetka Arciszewskiego — Stanisława, stanowiąca b. ciekawy przyczynek do biografii tego najbardziej zasłużonego robotnika polskiego; — „Szara dola” — to dola tramwajarza — szara, beznadziejna dola robotnika, który w każdej chwili, wskutek jakiegoś nieszczęścia, może być wyrzucony na bruk bez pracy, na poniewierkę i głód.

Zbiór ten poprzedza przedmowa pióra Teofila Wojeń skiego.

J. B. MARCHLEWSKI. Antysemityzm i robotnicy. Jest to trzecie wydanie pracy znanego działacza robotniczego (dawniej S. D., dziś komunisty) — Marchlewskiego — Korskiego. Mimo całej różnicy, jaka dzieli nas od zapatrywań autora w sprawach polityki robotniczej — śmiało możemy wyrazić wdzięczność „Książce”, że podjęła wydanie tej rzeczy. Antysemityzm ciągle jest „konikiem” burżuazji, ciągle stara się ona przy pomocy „żydowskiego argumentu” odciągnąć klasę robotniczą od jej zadań społecznych, a bierną i nieświadomą część społeczeństwa chroni się pod „istlnno” polskie skrzydełka szermierzy „Boga i Ojczyzny”.

Książka sama pisana jest przed paru laty i przeto niektóre, nieliczne zresztą, ustępy zatraciły swój właściwy i zrozumiały w tamtych czasach charakter aktualności, lecz poza tem jest ona jasnym, szerokim i popularnym obrazowaniem u nas kwestji żydowskiej. Obszernie potraktowane tło historyczne pozwala na pogłębienie poglądu i należyte zrozumienie wartości różnych zakorzenionych już dziś przesądów o istotnym charakterze i roli żydów. Dane cyfrowe i zobrazowanie różnych stanowisk, jak grup polskich, tak i żydowskich wobec antysemityzmu i spraw z nim związanych dają możliwość zorientowania się w dzisiejszym stanie tej sprawy. Książkę Marchlewskiego gorąco polecamy.



*) Aleksy Rzewski „Za wolność i lud”. Wspomnienia. Tom III, Warszawa 1920 r. Wyd. P. P. S.

ODEZWA W SPRAWIE UTRZYMANIA MINISTERJUM KULTURY I SZTUKI.

Wobec podniesionego w pewnych kołach projektu zniesienia Ministerjum Kultury i Sztuki, — szereg najpoważniejszych instytucji artystycznych i kulturalnych wnosi do Sejmu następującą odezwę:

„WYSOKI SEJMIE! Podpisane Towarzystwa, Zrzeszenia i Związki, jako zbiorowe organizacje, związane wspólnym interesem Sztuki i Kultury narodu, mają zaszczyt zapytać:

Czy i w jaki sposób prawa, obowiązki, zadania i potrzeby Sztuki w Polsce doznały tak gruntownego zaspokojenia, iżby myśl o zniesieniu niedawno utworzonego Ministerjum Sztuki i Kultury dała się usprawiedliwić i uzasadnić, jako krok najwłaściwszy, najskuteczniejszy i najpozytywniejszy.

Zapytują, czy utworzone przed niespełną półtora rokiem Ministerjum dla spraw tak żywotnych, jak problemy Sztuki i Kultury (tak, jak one, pamiętnych i tak — dotychczas — jak one niedocenianych) zdobędzie dalsze możliwości rozwoju, czy też dozna zacieśnienia i ograniczeń dających się tylko budżetowemi, pragmatycznemi i organizacyjno-wykonawczemi przeszkodami zasłonić, lecz nigdy uzasadnić.

Zapytują, czy istnieje jakakolwiek podstawa do osądzenia, że cele dla których utworzono Ministerjum Sztuki i Kultury zostały odważone i odmierzone lekkomyślnie, bezzasadnie i pobieżnie, oraz zapytują, czy na decyzję Sejmu i Rządu mają wpływ w tej mierze echa krytyk dorywczych, epizodycznych, atakujących wszak każdy Rząd, każdy jego organ i każdy objaw życia, nie liczących się z faktem, że krytyka podobna podkopuje niekiedy nie formę, lecz treść rzeczy.

Zapytują, które ze stronnictw sejmowych zdoła wziąć na siebie odpowiedzialność za trafność i skuteczność kroku, który z troski o potrzeby Sztuki zdąży do ich zaspokojenia przez zmniejszenie atrybucji Ministerjum Sztuki lub przez zniesienie tegoż Ministerjum.

Zapytują, jak Sejm wyraził pamięć Narodu o tych dziedzinach naszego życia, które przez długi szereg nazwisk, sto-

jących obok nazwisk Mickiewicza, Chopina, Matejki, Grottgera, Sienkiewicza i Wyspiańskiego, zdobywały Europę dla Polski i Polskę w Europie ocaliły, dając świadectwo niezniszczalności duchowego życia naszego narodu.

Zarytują, czy Sejm nie widzi możliwości sanacji pozytywnej, twórczej i rozwojowej, a tylko negatywną, zmniejszającą i podporządkowującą.

Zapytują, czy Sejm zdoła osłabić wrażenie, jakie z powodu przyjęcia formy sanacji negatywnej zagrozi pojęciom o Sztuce u ogółu i czy zdoła szkody stąd powstałe powetować“

Zarząd W. T. A. Prezes Mann Aleksander, Sekretarz M. Wysztyński, Skarbnik Stefan Bukowski.

W. Przybylski, K. Biske, K. Strzebiński, Z. Jasiński, W. Majewski, F. Słupski, W. Dytmański, E. Urbański, A. Dobrodzicki.

Odezwę podpisali: Warszawskie Towarzystwo Artystyczne, Koło Plastyków z Warszawy, Komitet wykonawczy Pierwszego Powszechnego Zjazdu Artystów Plastyków Polskich, Powszechny Związek Artystów Polskich z Krakowa, Powszechny Związek Artystów Polskich z Poznania, Związek Artystów, pracujących w szkolnictwie w Krakowie, Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Warszawie (28000 członków), Zarząd Główny Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średn. Komisja Wykonawcza Rad Pedagog. Polskich Szkół Średnich m. Warszawy, Sekcja rysunkowa Muz. pedagog. w Warszawie, Sekcja Rysunkowa Tow. Naucz. Szkół Wyższych w Krakowie, „Zdobnictwo“ z Warszawy, Komitet Organizacyjny Powszechnego Zjazdu Muzyków, nadto szereg zarządów muzeów, galerji, oraz najwybitniejszych artystów, publicystów i uczonych.

Dalsze podpisy zgłaszać można pisemnie do Zarządu Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego (Trębacka 10)“.

Ze swej strony „Światło“, jako pierwsza w Polsce robotnicza placówka artystyczna — przyłącza się do tego głosu, bowiem jeśli Ministerjum Kultury i Sztuki nie spełniło dotąd swych obowiązków, to należy wzmocnić jego pracę, ale nigdy nie zabijać, lub pozbawiać samodzielności.



Składki plebiscytowe. Główny Komitet plebiscytowy Spisko-Orawski w Nowym Targu prosi administrację wszystkich pism polskich, wszystkie instytucje lokalne. Komitety zbiórki, oraz wszystkie osoby, w których posiadaniu znajdują się jakiegokolwiek fundusze, zebrane na akcję plebiscytową na Spiszu i Orawie, aby zechciały jaknajrychlej przesłać je wraz z dotyczącymi listami ofiarodawców pod adresem Głównego Komitetu do Nowego Targu, do tychczas bowiem fundusze te zalegają u zbierających.

Na Walnem Zebraniu Konstytucyjnym Tow. Wyd. Światło, które odbyło się dnia 22 czerwca r. b., powzięte zostały następujące uchwały: 1) Sprawozdanie Komitetu wykonawczego przyjąć do zatwierdzającej wiadomości 2) Kapitał Udziałowy określić na 150.000 marek (z prawem podniesienia sumy do 250.000 w razie potrzeby) 3) Wysokość udziału podnieść do 200 marek.

Wybrano również Delegację prawną Towarzystwa i Komisję Rewizyjną.

Szczegółowe sprawozdanie z Zebrania umieścimy w następnym numerze.

HUMOR I SATYRA



S. S. w tak młodym wieku i już się przyzwyczajają rękę wyciągać...

Wszystkich czytelników naszego tygodnika prosimy o szybkie nadsyłanie odpowiedzi na „Ankiety”, zamieszczoną w 16 — 17 zeszytcie „Światła”.

REDAKCJA.

DO PRENUMERATORÓW „ŚWIATŁA”.

Prosimy o przesyłanie pieniędzy tylko za pomocą przekazów pocztowych lub czeków P. K. O., gdyż odbieranie pieniędzy w listach wartościowych sprawia Administracji wiele trudności i utrudnia regularną wysyłkę pisma.

Następny numer „Światła” poświęcony będzie twórczości art. malarza Jana Rembowskiego.

W najbliższym czasie ukaże się z druku zbiór poezji

WACŁAWA BUDZYŃSKIEGO

p. t.

„SNY I RZECZYWISTOŚĆ”

nakładem Tow. Wyd. „ŚWIATŁO”

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I-sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100, półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna ósma strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W tekście: przed rubryką „Z wydawnictwa” miejsce wiersza nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.

Jedynе w Polsce ilustrowane pismo socjalistyczne

„ŚWIATŁO“

poświęcone literaturze, sztuce, nauce i sprawom bieżącym. Wychodzi od lutego b. r.

Dotychczas zamieściło utwory następujących autorów:

PROZA: — R. Boskiego, W. Budzyńskiego, St. Stefanowskiego, J. Rembowskiego, Z. Rychnowskiego, A. Struga, Z. Wojnarowskiej, St. Żeromskiego.

TŁUMACZENIA: — A. Awiercenki, H. Barbusse'a, J. Galsworthy'ego, B. Pain'a.

POEZJE: — W. Budzyńskiego, A. Chmurnego, H. Dembowskiej, W. Horzycy, Zofji K., Noba, Retkego, A. Słonimskiego, T. Szewczenki, J. Wisły, Z. Wojnarowskiej.

ART. RÓŻNE: N. Barlickiego, J. M. Borskiego, J. Hempla, B. Kopelówny, R. Kucharskiego, A. Langer, B. Ławrowskiego, W. Olesia, Z. Piotrowskiego, St. Radka, J. Rembowskiego, L. Sawickiego, I. Sawickiej, A. Szererowej, Br. Siwika, T. Szturm de Sztrema, W. Wieleckiego, Wł. Wolerta, H. Wilczyńskiej, Z. Zaremby.

„ŚWIATŁO“ prowadzi bogaty dział sztuki plastycznej,

w którym podało reprodukcje dzieł: St. Wyspiańskiego (4 reprodukcje), Wittiga (3), T. Pruszkowskiego (5), R. Kramsztyka (5), J. Malczewskiego (5), Wł. Koniecznego (6), S. Botticellego (1), A. Pollajuolla (3), Wł. Skoczylasa (7 drzeworytów i 5 akwafort), K. Meuniera (1), F. Kodlera (1), Rude'a (1), Breyata (1), I. Łopieńskiego (4), B. Kuźmińskiego (7).

Każdy zeszyt „ŚWIATŁA“ zdobią winiety i inicjały, wykonane przez J. Rembowskiego i K. Adamską.

„ŚWIATŁO“ zamieszcza stale reprodukcje dzieł sztuki ludowej (dotychczas 12 reprodukcji), fotografie aktualne (90 zdjęć), rysunki satyryczno-humorystyczne — Z. Grabowskiego, Z. Skwarczyńskiego i W. Lipińskiego.

Zeszytem 18-19 zamykamy pierwsze półrocze (tom I) „ŚWIATŁA“.

W drugim półroczu „ŚWIATŁO“ będzie nadal wychodziło co dwa tygodnie w tym samym rozmiarze.

„ŚWIATŁO“ jest pierwszą placówką szerzenia kultury duchowej w masach.

Każdy kulturalny robotnik winien zaprenumerować.

Każde kółko oświatowe, każda biblioteka i czytelnia winny sprowadzać „ŚWIATŁO“.

Każdy winien popierać „ŚWIATŁO“ i jednać mu przyjaciół i prenumeratorów.